

STEFAN  
OTWINOWSKINotes  
KRAKOWSKI

**N**aprawdę zastanawiającym zjawiskiem jest to ogromne zainteresowanie odbiorców sztuki i literatury wszelkiego rodzaju sprawami, fikcjami z przeszłości. „L'Express” paryski, a za nim nasze „Forum”, da temu nazwę „mody i nostalgii”. Zgoda, niech będzie „nostalgia”. Tak czy owak, rzecz ma zasięg europejski. Wśród publiczności czytelniczej największym powodzeniem cieszą się wspomnienia i wznowienia; na spotkaniach autorskich, jeżeli nie masz nie do powiedzenia na temat dwudziestolecia międzywojennego, lub jeżeliś nie brał udziału w tworzeniu się kultury zaraz po wojnie — nikt cię słuchać nie będzie. Ludzie, którzy nigdy nie oglądają telewizji, a nawet uciekają przed nią z domu, gdy zjawił się na małym ekranie cykl filmów z Marleną Dietrich, nagle zostali domatorami. Może na fali tych restytucji i powrotów Teatr Ludowy dał nam „Pannę Julię” Strindberga. Reżyserią zajął się Andrzej Dobrowolski. Rzecz wystawiona bez żadnych przesadnych cudzysłowów stała się jednym z najlepszych przedstawień krakowskiego bieżącego sezonu i na premierze przyjęta została owacyjnie. Na sali przeważała młodzież!

Czytam książkę Krystyny Jabłońskiej; tom zawiera liczne interesujące wspomnienia o Kazimierzu Tetmajerze. Ileż w tej książce śladów kwitnącej neurastenii. Lektura stworzyła we mnie wyborny podkład do pełnego przyjęcia dramatu skandynawskiej hrabianki. „Panna Julia” jest dziełem prononsującym temat hysterii w literaturze. Rozwinął on się w dalszych dziejach modernizmu, a zaowocował ponownie w naszej współczesności. Jeżeli więc aprobujecie modną tezę o nostalgii, koniecznie zobaczcie to przedstawienie. Trójka aktorska: Danuta Jamrozy, Roman Marzec i Jadwiga Ulatowska, świetnie wypełniła zamysł reżysera, iżby dramat był wyrazisty i co się zowie psychologiczny — i żeby nie ugrzązł w parodii.

W kinie Sztuka mieliśmy przez tydzień przegląd filmów szwajcarskich. Wybrałem się na jeden z nich, tytuł — „Złe maniery”. Tytuł jak tytuł, ale w prospekcie zdanie zachęcające: studium smutku i osamotnienia we współczesnej rzeczywistości. Każdy z nas czuje się „osamotniony we współczesnej rzeczywistości”, więc chętnie zobaczy, jak to osamotnienie znośną jego bliźni w kraju tak sympatycznym i tak pięknym, jak Szwajcaria. Raz tylko i to przed pię-

tnastu laty byłem tam... przepraszam, pobyt mój nie ma nic wspólnego z pracą reżysera Simona Edelsteina. Praca ta szlachetna jest w swoim umiarze. Gra troje ludzi, grają też puste wnętrza mieszkań, gra przyroda w całej rzeczywistości okazałości smutku. Udział przyrody nie dla treści jest jednak, lecz dla formy. Dla tonacji, jak w innych filmach muzyka. Treść? Bohaterem opowieści Edelsteina jest reporter radiowy, przeprowadzający rozmowy z samotnymi kobietami. Celem tych dialogów powinno być poprawienie samopoczucia zgłaszających się do reportera-psychologa samotnic. Serce bowiem można nasycić czasem jedną mądrą rozmową, jeśli nie nadzieją nasycić, to błogostawionym marzeniem. Reporter wykonuje pracę dobrze, widzimy też, że sam w swym osobistym życiu pozostaje człowiekiem bez wiary i nadziei. Przypadkowa partnerka nocy miłosnej reportera, dziewczyna cyniczna ale „szczerą”, postanawia zdemaskować posłannictwo psychologa. Być może, film Edelsteina trafi do naszych kin w normalnym trybie — idźcie, czeka was po półtoragodzinnym seansie kilka godzin smutku oraz szereg pytań, które przed Edelsteinem stawiał wam w teatrze Jerzy Szaniawski. Nostalgia trwa. Także w Szwajcarii.

W Pałacu Sztuki — jeżeli nostalgia, to tylko jako refleks. Powiedziałbym nawet, że w obrazach Jerzego Potrzebowskiego nostalgia ma sens zdrowy, ponieważ artysta ten nigdy nie zrezygnował z romantyzmu. Uczuciom zaś swoim, patriotycznym, umie nadać ton świeżości...

Uwielbia na przykład Potrzebowski konie. Czy uczucie do konia to w nerwach naszych emocja wsteczna? Proszę, zastanówcie się i nad tym pytaniem!

W salonach dalszych tegoż Pałacu wystawa prac zmarłego przed czterdziestu laty Ignacego Pinkasa. Kilka świetnych portretów i wzruszających pejzaży urbanistycznych. Cenna ekspozycja, polecam ją najgoręcej.

A teraz — czy tłumem, który wali co wieczór do Teatru Muzycznego na przedstawienie pod tytułem „Dziękuję ci, Ewo”, kierują również uczucia nostalgiczne? Nie! Nie przesadzajmy. Anachroniczny wdzięk operetki był już siłą samą w sobie, zanim zrodziła się ta aktualna moda na poszukiwania i powroty. A więc musical „Dziękuję ci, Ewo” — wróćmy do informacji — wystawiony został i w Krakowie. Zrobiono to z wielką starannością. Świetne toalety pań, kilka zmian kostiumów baletowych, ostra, a dobrze brzmiąca orkiestra, światła, schody i znowu schody — wszystko jak za najlepszych czasów rewii w Morskim Oku. Andrzej Włast miałby chwilę prawdziwego triumfu. Libretto? Anegdota literacka? Nie, żadna literatura nie odgrywa w takich spektaklach większej roli. Pod tym względem operetka dawno wyprzedziła teatr dramatyczny. Dajmy drugiemu amantowi kobiecy strój i, jeśli drugi amant ma siłę komiczną i kulturę osobistą, najważniejsza, zabawowa część przedstawienia jest tym samym pomyślnie załatwiona. Mamy w Krakowie takiego aktora, jest nim Andrzej Pągowski. Bawił nas wybornie. W wokalnych partiach musicalu lepszy od Pągowskiego był Edward Adler. Śpiewały również panie: Barbara Barska, Izabela Dzieżyńska, Alicja Stawecka i Alicja Świątek. Wszystkie swymi umiejętnościami wokalnymi w pełni wsparły kompozytora Stanisława Renza. Reżyserią i choreografią zajęła się doświadczona i wielce utalentowana Stanisława Stanisławska.

STEFAN OTWINOWSKI